

Rodzice oddali mi ręce i nogi

Jeszcze rok temu Janusz Świtaj chciał umrzeć. Dziś sparalizowany mężczyzna pomaga innym. Właśnie wydał autobiografię

JACEK MADEJA, KATOWICE

••
Książka Świtaja „12 oddechów na minutę” wystukana na klawiaturze komputera za pomocą ołówka trzymanego w ustach jest hołdem dla wszystkich rodziców, którzy opiekują się niepełnosprawnymi dziećmi. Jej napisanie zajęło mu siedem lat. Janusz opisuje swój powrót do godnego życia.

- Jestem dumna z syna, ale nie wierzyłam, że książka się ukaże - mówi wzruszona Helena Świtaj. A ojciec Janusza Henryk, który otwarcie przyznawał, że ostatnie kilkanaście lat spędzonych z synem nie było czasem łatwym, dodaje: - Tak, czuję się bohaterem. Byłem z nim zawsze przez 24 godziny na dobę. To ciężka praca.

Oboje towarzyszyli synowi podczas promocji książki. Dlaczego „12 oddechów”? Właśnie tyle powietrza co minutę tłoczy respirator do płuc Janusza, który od 15 lat żyje tylko dzięki medycznej aparaturze. Wszystko przez młodzieńczą głupotę - motocyklowy wypadek, roztrzaskane kręgi szyjne. Przeżył, ale sprawna pozostała tylko głowa. Niemal dwumetrowy mężczyzna w jednej chwili zamienił się w dziecko. Bezbronny, całkowicie zdane na opiekę rodziców. To oni spędzają z nim każdy dzień. Przewijają, karmią, przewracają na drugi bok, masują.

- Proszę popatrzeć, tyle lat w łóżku, a pupa jak u niemowlaka, ani śladu odleżyn - matka z dumą podnosi ręcznik otulający biodra Janusza.

Gdy po raz pierwszy przyjechał na święta ze szpitala, w domu nie było jeszcze respiratora. Rodzice razem z ciotką rozpisali dyżury i ręcznie - za pomocą gumowego worka - tłoczyli powietrze do jego płuc. Kiedy z upływem miesięcy zaczęli tracić siły, Janusz nie wytrzymał. Zaszokował wszystkich prośbą do sądu o zaprzestanie uporczywej terapii, gdy zabraknie któregoś z rodziców. - Bez nich nie dam sobie rady - tłumaczył. Wtedy usłyszał o nim cały kraj.



Janusz Świtaj podczas promocji swojej książki

- Napisanie książki to był ogromny wysiłek. Nie fizyczny. Emocjonalny. Wreszcie zrzuciłem to wszystko z siebie

- Takich ludzi są w Polsce tysiące. Są cichymi bohaterami, o których rzadko ktoś wspomina. A to oni wchodzi w skórę dziecka, przejmując część jego cierpienia - mówi Anna Dymna, szefowa fundacji Mimo Wszystko.

Świtaj nie ukrywał, że czasem ma dość rodziców. Narzekał, że ojciec przez cały czas kontroluje, co robi.

- Musi wszystko wiedzieć i zawsze się wtrąca - skarżył się. Ale jak może być inaczej w małym, dwupokojowym mieszkaniu, i to w przypadku syna, który sam nie potrafił się przewrócić się na drugi bok? - Pilnujemy go, bo za dużo chce naraz - tłumaczyli rodzice.

Życie Janusza zmieniło się od czasu tego rozpaczliwego apelu. Stał się symbolem walki o prawa osób niepełnosprawnych. Od ponad roku pracuje w fundacji Anny Dymnej. Pomaga ludziom takim jak on, którzy przez swoją niepełnospraw-

ność są wykluczeni z normalnego życia. W przyszłym tygodniu rozpocznie naukę w drugiej klasie liceum dla dorosłych. Chce zdać maturę. Od kilku miesięcy porusza się na wózku, którym sprawnie kieruje za pomocą ustnika reagującego na oddech.

- Napisanie książki to był ogromny wysiłek. Nie fizyczny. Emocjonalny. Wreszcie zrzuciłem to wszystko z siebie - mówił Świtaj podczas spotkania promocyjnego w Jastrzębiu.

Anna Dymna, która podczas pracy w fundacji na co dzień spotyka się z rodzinami niepełnosprawnych, przyznaje, że to odosobniony przypadek. Według aktorki polskie prawo, zamiast ułatwiać, tylko utrudnia opiekę nad ciężko chorymi.

- Kiedy dojdzie do nieszczęścia, rodzice są pozostawieni samym sobie. Muszą walczyć o najmniejsze sprawy, i to jest zwykle bardzo dramatyczna walka. Nasza fundacja pomogła matce, która adoptowała niewidomą dziewczynkę. Od razu zgłosili się urzędnicy, że ma oddać ZUS i inne świadczenia. Tak nie może być. Powinniśmy stworzyć system opieki nad takimi osobami. A zacząć trzeba od prostego ludzkiego zainteresowania. Nawet nie zdajemy sobie sprawy, co to znaczy samotność w cierpieniu - mówi Dymna. •